NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK")

PISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE I OŚWIATOWE.

Rocznik II (XXXIII). — Rok 1926. — Nr. 1.

Adres redakcyi: Kraków, ul. Powiśle l. 12.

NAKŁADEM WYDAWCY.
ODBITO W DRUKARNI „CZASU" W KRAKOWIE.

Kalendarzy żadnych na składzie nie mamy, ani ich nie sprzedajemy.

Życzliwych nam Czytelników

prosimy o rozszerzanie „NOWEJ ZORZY" między znajomymi i zachęcanie ich, aby sobie to pismo zaprenumerowali.

Kto dziś rozszerza i wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Kogo tedy stać, i kto pragnie nam dopomódz, niechaj oprócz prenumeraty nadeśle jaki DATEK na „fundusz wydawniczy" dla „Nowej Zorzy" gdyż samą prenumeratą nie można dziś pokryć kosztów wydawnictwa, a my będziemy za tę pomoc bardzo wdzięczni.

Szan. Czytelników w Ameryce

prosimy, aby prenumeratę posyłali albo w listach, ale poleconych (rejestrowanych) i dobrze zalepionych, albo przekazem pocztowym; w tym drugim jednak wypadku, należy osobno na kartce przysłać swój dokładny adres, bo poczty amerykańskie bardzo przekręcają na przekazach adresy nadawców i niedokładnie je podają.

Rocznik II. (XXXIII) Kraków, 1 Stycznia 1926. Nr. 1.

NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK“)

PISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE I OŚWIATOWE

WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA 1-GO.

NOWA ZORZA kosztuje w przedpłacie na rok: **5** zł. — półrocznie: **2** zł. **50** gr. — Do Ameryki na rok: **1** dolar. **Razem** zaś z **„NASZĄ NOWĄ SKARBNICĄ“** kosztuje „NOWA ZORZA“ na rok: **7** zł. — półrocznie: **3** zł. **50** gr. Do Ameryki na rok: **2** dolary.

Adres: Redakcya „Nowej Zorzy“ (lub Ks. M. Dziurzyński) w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Uczmy się od wrogów!

„Napróżno budować będziecie domy ludowe, zwoływać wiece, zakładać szkoły, urządzać odczyty różnego rodzaju, tworzyć organizacje polityczne, zawodowe i spółdzielcze, wszystkie wasze zabiegi będą daremne, jeśli nie będziecie umieli używać broni odpornej i zaczepnej, jaką jest prasa“.

Czyjeż to są słowa? Kto je wypowiedział? Podał je »Naprzód«, krakowski organ socjalistyczny, w numerze 283 z dnia 7 grudnia 1925 r. nazajutrz po »dniu prasy«, urządzonym w całej Polsce przez partję socjalistyczną.

Nie »Naprzód« jednak jest autorem powyższej oceny wartości prasy w dobie dzisiejszej, przeinaczył on tylko słowa Papieża Piusa X, i do celów swej partji nakręcił.

A Papież Pius X, tak mówił: »Napróżno budować będziecie kościoły, odprawiać misje, zakładać szkoły, wykonywać dobre uczynki wszelakiego rodzaju, wszystkie wasze zabiegi będą daremne, jeśli nie będziecie umieli użyć broni zaczepnej i odpornej, jaką jest szczerze katolicka prasa«.

„Przyznać musimy rację poglądom Papieża na znaczenie prasy — pisze dalej »Naprzód« — i dlatego zwracamy się

do was towarzysze i pracownicy z podobnem ostrzeżeniem, w odmiennym atoli duchu".

W tymże samym numerze »Naprzodu«, senator, żyd Posner »kpem« nazywa tego, kto własnego pisma nie popiera. Nie rozumie taki człowiek, co czyni, nie chce zwycięstwa własnej klasy, ani idei, której ta klasa broni. Nie jest on członkiem partji, który ma poczucie praw i obowiązków swoich, nie jest żołnierzem wolności, jeno ciurą, co się hufcom rycerskim wlecze w ogonie«.

»Gazetę swoją nietylko czytać trzeba, trzeba jej służyć, trzeba ją do czytania dawać i rozpowszechniać. Trzeba przy jej pomocy otwierać ludziom oczy na rzeczywistość życia polskiego. Trzeba zabiegać, w pocie czoła pracować, aby gazecie przybywali czytelnicy, aby była poważna, potężna i posiadała liczne środki. Sprawmy wszyscy, aby tak było!«

Tak brzmi socjalistyczna odezwa. Uczmy się więc od wrogów Kościoła i społeczeństwa oceniać wartość prasy, którą, niestety, przeważna część katolików w Polsce wielce sobie lekceważy, bo uważa prasę za rzecz podrzędną, za coś, bez czego można się śmiało obejść!

Są katolicy wśród nas, którzy gorliwie spełniają przykazania Boże i kościelne, żyją przykładnie, chodzą do kościoła, przystępują do Stołu Pańskiego, ale pism katolickich wcale nie popierają, ani ich też nie czytają, ani o pomocy dla nich nie myślą.

Nie chcą ci ludzie zrozumieć tego, że czytanie, prenumerowanie, rozszerzanie i dopomaganie pismom katolickim jest dziś świętym obowiązkiem każdego katolika, a nie łaską żadną.

Nie prenumerator robi łaskę redakcji i wydawcy, gdy prenumeruje pismo katolickie, ale odwrotnie redaktor i wydawca czynią łaskę, gdy pismo katolickie wydają, dziś, przy takiej ogromnej obojętności i takiem małem poparciu, jakiego doznają od społeczeństwa, zwłaszcza polskiego.

Przyznajemy się chętnie do katolicyzmu, a nie uznajemy jednego z jego wielkich obowiązków, jakiem jest popieranie prasy katolickiej. I cóż to za katolicyzm!

Skoro Papieże z katedry swojej głoszą, że popieranie dobrej prasy ważniejsze dziś jest niż budowanie kościołów, niż dobre uczynki wszelakiego rodzaju,

to chyba należy w to wierzyć, jeżeli się jest katolikiem prawdziwym.

»Крem« jest ten — woła żydowski senator Posner, kto nie popiera pisma swojego, socjalistycznego, a my dodamy: nie ma pojęcia o prawdziwem katolicyzmie, nie zna jego ducha, nie odczuwa jego potrzeb, ten, kto nie prenumeruje pism katolickich i nie popiera ich!

Mówimy »pism«, »nie pisma«, bo dziś trzeba nie jedno tylko pismo katolickie czytać i popierać, ale tyle, ile tylko można, bo im więcej mamy takich pism, tem lepiej dla Kościoła i narodu!

Wstyd, zaiste, dla naszego niby katolickiego społeczeństwa, że o potrzebie popierania prasy uczciwej ciągle mu trzeba przypominać, i że ta prasa walczyć musi z ogromnemi trudnościami, działać w prawdziwej nieraz biedzie i w nader ciężkich materjalnych warunkach.

Katolicyzm, który tak się zachowuje względem prasy katolickiej, choćby się przechwalał pobożnością zewnętrzną, ogromną ilością świątyń i kapłanów liczebną siłą, nie na stałych spoczywa podstawach, i co zresztą już widzimy, zachwiać się łatwo może i upaść lub być przez wrogów zniszczonym, jakto całkiem wyraźnie przepowiedzieli Papieże!

Nie tylko więc Szan. Czytelnicy popierajcie i rozszerzajcie naszą »Nową Zorzę«, lecz i inne także pisma, ale katolickie, bo — jak się wyraził jeden z XX biskupów francuskich: »Katolicka prasa, to czyn czynów. Dawać na cele katolickiej prasy, to znaczy bez wątpienia dawać na wszystko, co katolickie. Jest to dawać dla wiary, dla moralności, dla wolności i prawa sumienia — dawać dla Kościoła i dla Boga!«

Ciężkie oskarżenie.

Nie byle kto, nie poseł analfabeta, albo wojewoda, który skończył 4 klasy normalne, jakich kilku mamy w Polsce, dzięki rządom warszawistów, ale prezes krakowskiej Akademji Umiejętności p. Jan M. Rozwadowski, zabrał głos

i w świątecznym numerze krakowskiego »Czasu« wprost tak przemówił do sejmu, senatu i rządu.

»Nazwiska wasze chociaż nie bardzo sławne, są znane i zapisane, jeżeli kiedyś sąd przyszłych pokoleń, jeżeli kiedyś historja wyda wyrok, że naród polski nie zasłużył na odzyskaną niepodległość i państwo, to ten wyrok wasze przedewszystkiem nazwiska po wiek wieków przekleństwem obciąży«.

»Ale nie uwolni od tego przekleństwa« — woła dalej p. Rozwadowski — także tych, co się mianują inteligencją narodu, solą ziemi rodzinnej; przeciwnie będzie zadawać pytanie: gdzieście wówczas byli? — Czemu nie wzbudziliście w sobie mocnej woli i nie zmusili waszych ślepych przewodników do wejścia na drogę prawdy?

Opowiada się powszechnie, wszędzie bez osłonek, okropne rzeczy o zachłanności osobistej, żerującej jak świnie w korycie, o marnowaniu grosza publicznego, o przekupstwach, o lichocie stronnictw — co zresztą wszystko jest prawdą, bo widzimy to niestety, więc dlaczego niema sądu, kary, jawności? Dlaczego dochodzenia nie odnoszą skutku? Czy dlatego, że wszyscy są wspólnikami? Gdzie jest prokuratorja państwa?

Czyż niema wśród sejmu i senatu, wśród urzędników bezpośrednio odpowiedzialnych ludzi czystych, uczciwych, kochających naród i mających choć trochę odwagi? Na takie pytanie słyszy się odpowiedź: niestety, niema sposobu!«

I dalej pisze zacny prezes Akademji, że przekleństwo pada na stronnictwa, bo one przez swą zaciekłość partyjną nie pozwalają na żaden krok rozumny, a niema władzy, któraby ich za łeb wzięła, a jeżeli niema władzy ponad sejmem, to wobec stanu, do jakiegośmy doszli, pozostaje jedna droga: Sejm i senat muszą się same rozwiązać. Niech po niesławnem życiu oczyszczą się bohaterską śmiercią — a grzechy będą im odpuszczone. Czas już do zrobienia tego kroku najwyższy, bo obrzydliwość już nam sięga do gardła. Inaczej hańba, a z hańbą upadek«.

Grozi więc, według słów p. Rozwadowskiego, Polsce i hańba i upadek, jeżeli dalej ten stan trwać będzie, w jakim obecnie Polska się znajduje.

A wina za to okropne położenie spada przedewszystkiem na rządy nasze, a także na senat i sejm, które swą

obojętnością i gospodarką złodziejską i marnotrawczą, doprowadziły Polskę nad brzeg przepaści.

Najgorszem zaś jest, że się winnych nie karze, że dochodzenia nie odnoszą skutku, a prokuratorja państwa na te wszystkie łajdactwa milczy!

Kolenda na czasie.

Bóg się rodzi — lud truchleje
Z przerażenia, co się dzieje,
w Rzeczypospolitej.
Bo przy żłobie oprócz posłów,
Widzi kupę wołów, osłów,
w Rzeczypospolitej.
Każdy siebie grzejąc — chucha,
I co wlezie pcha do brzucha,
w Rzeczypospolitej.
Gwiazda wschodzi — Bóg się rodzi.
Naròd głodny, boso chodzi,
w Rzeczypospolitej.
Zato brzuchy, tam przy żłobie,
Woły, osły, pasą sobie,
w Rzeczypospolitej.
Weźmij Jezu malusienki,
Tęgi kij lub bat do ręki,
w Rzeczypospolitej.
I od żłobu przez swych posłów,
Odpędź kupę wołów, osłów,
w Rzeczypospolitej.
A gdy przyjdą trzej królowie,
»Dobrześ zrobił« — każdy powie,
w Rzeczypospolitej.

Prosimy o rozszerzanie **„NOWEJ ZORZY“** między znajomymi!

Wielki wstyd!

Państwo nasze zagrożone jest w swym bycie! Przeżywamy chwile ciężkie, chwile wstrząsu finansowego i gospodarczego. Jeżeli wnet i energicznie nie zabierzemy się do naprawy całej złej gospodarki naszej, jaka cechowała dotychczasowe prawie wszystkie rządy polskie, to i odzyskana wolność na niewiele się nam przyda, bo za ruiną gospodarczą przyjść może utrata tej wolności.

Takie głosy dawały się słyszeć z końcem roku zeszłego w całej Polsce! Dziś, dzięki Bogu, otucha zaczęła wstępować w serca polskie, gdy nowy minister skarbu p. Zdziechowski zapowiedział w grudniu r. z., że rząd wejdzie na drogę takich oszczędności, zaprowadzi taką oszczędną gospodarkę w budżetach wszystkich poszczególnych ministerstw, a więc we wszystkich działach administracji państwowej: w szkolnictwie, w sądownictwie i w administracji wojskowej, że te środki muszą uzdrowić skarb państwa, muszą nas wydobyć z obecnego krytycznego położenia.

A położenie to było i jest jeszcze ciągle krytyczne. »Złoty« nasz załamał się, stracił swoją wartość prawie do połowy, bo na 1 dolara szło niezbyt dawno przeszło 10 złotych. Liczba bezrobotnych wzrasta, fabryki bowiem bywają zamykane, gdyż towary w nich wyrabiane są za drogie w porównaniu z zagranicznymi i nie mają zbytu ani w kraju ani za granicą.

Drożyzna rośnie, a z nią i niezadowolenie w narodzie. P. Grabski, jak to publicznie stwierdził p. Zdziechowski, obecny minister skarbu, zostawił pustki w skarbie państwowym, a napełnić go znowu można nietylko dochodami z podatków, które na ten cel nie wystarczają, ale głównie pożyczką zagraniczną. Tymczasem zagranica całkiem jawnie odpowiada, że nie udzieli nam pożyczki, dopóki nie nauczymy się innej, lepszej, rozumnej gospodarki.

I czy to nie wstyd dla Polski, że ma za granicą taką haniebną opinię? Niemcy się cieszą, bo ich zdanie o »polskiej gospodarce«, przynoszące nam ujmę, sprawdza się, niestety, w całej pełni.

Nie pomogą tu żadne zaprzeczenia, prawdą bowiem jest, jak się przez te 8 lat rządów polskich pokazało, że

gospodarka nasza była, jak się to mówi, pod psem, skoro doprowadziliśmy do pustki w skarbie, a zagranica czyni udzielenie nam ratunkowej pożyczki zależnem od naszej na polu gospodarki poprawy i żąda nad nią kontroli z jej strony.

Do takiego to stanu wielce nas poniżającego przyjść musiało, bo rządy w Polsce w zaraniu jej wolności dostały się w ręce ludzi, którzy kierowani jakąś dziecinną, a głupią fantazją natworzyli wiele całkiem niepotrzebnych ministerstw i przeróżnych wyższych i niższych a zbytecznych urzędów, i te napełnili ludźmi niefachowymi, nieukami lub samoukami nie mającymi pojęcia o swoich obowiązkach.

Rząd ponadawał tymże urzędnikom, zwłaszcza na wyższych stanowiskach, zbyt wysokie pensje; i patrzał przez palce na liczne nadużycia wielu z nich, na ich marnotrawstwo grosza publicznego, bo to byli i są różni znajomi albo krewni pp. ministrów, lub posłów.

A gdy »Najwyższa Izba Kontroli państwa« wykrywała te bijące w oczy nadużycia i żądała od przełożonych urzędów ukarania tych niesumiennych, a okradających państwo podwładnych, władze wyższe zamiast to zrobić, starały się złodziei uniewinniać, lub przenosiły ich za karę na inne stanowiska, na których nieukarani złodzieje dalej kradli.

Takie łajdactwa działy się od lat ośmiu, a najwięcej za rządów p. Grabskiego, tego zachwalanego przez narodową demokrację zbawcę Polski.

Słusznie tedy podnoszą się głosy, by tego uzdrowiciel (!) naszej waluty postawić przed Trybunał stanu, bo na to rzeczywiście zasłużył.

Jak szafowano groszem publicznym, jak go marnowano na różne niepotrzebne wydatki, jak różni dygnitarze i zarządcy dóbr państwowych okradali skarb państwa, o tem byby się całe tomy, całe księgi pisać i dzienniki codzienne o tych łajdactwach przeróżnych piszą.

Więc niema potrzeby powtarzać je tu, bo o nich cała Polska wie, miejmy jednak nadzieję, że się to może teraz zmieni gdyż rząd na serjo myśli o zmianie tej fatalnej dotychczasowej gospodarki, która Polskę doprowadziła nad brzeg przepaści.

Oby tylko zamierzenia rządu były prawdziwe, i oby je rząd przeprowadził energicznie, a zwłaszcza, aby pousuwał z urzędów, z przedsiębiorstw i z zarządu państwowych ma-

jątków wszystkich łapowników i złodziei, a gdy wydobędzie Polskę z dzisiejszego krytycznego położenia, zasłuży sobie na nazwę i godność: prawdziwego zbawcy Ojczyzny!

Aby jednak rząd obecny, rząd koalicyjny, mający w swem gronie przedstawicieli wszystkich stronnictw, mógł to ciężkie zadanie spełnić, muszą mu dopomóc i sejm i całe społeczeństwo, sejm przez dobrą radę i pomoc, a społeczeństwo przez oszczędne życie, ofiarność i cierpliwość ze swej strony!



Zarobki robotnicze w Polsce a za granicą.

Według obliczeń z grudnia roku zeszłego płace za prace nie były u nas jednakowe. Górnik fachowy zarabiał na Śląsku 6 złotych 52 groszy dziennie, do czego doliczyć należy dodatki płacone przez przedsiębiorcę na ubezpieczenie socjalne wynoszące 36 groszy na głowę, więc razem czyni to 6 złotych 88 groszy.

Fachowcy niższych grup pobierali od 3 złotych 20 gr. do 5 zł. 4 gr. łącznie zaś z dodatkami na ubezpieczenie od 3 zł. 50 gr. do 5 zł. 4 gr.

W Zagłębiu dąbrowskiem i krakowskiem płace były niższe: dla fachowców 4 zł., dla niefachowców 2 zł. 20 gr. do 3 zł. 20 gr.

W przemyśle metalowym najlepiej płacono na prowincji, zwłaszcza w Lublinie. Rzemieślnik pobierał tu 5 zł. 52 gr. dziennie. w Poznaniu 5 zł. 20 gr., w Łodzi 5 zł. 12 gr., w Warszawie 4 zł. 96 gr. do 7 zł. 10 gr. — Pomocnicy brali na prowincji 3 zł. 76 gr., w Warszawie 3 zł. 20 gr. do 4 zł. 38 gr. dziennie.

A jak płacono za granicą:

Otóż niżej od naszej stawki na prowincji nie płacono nigdzie. Niżej od naszej pracy w Warszawie płacono jedynie we Włoszech (w Medjolanie i w Rzymie). Pozatem robotnik w przemyśle metalowym zarabiał w Pradze 6 do 8 zł. 10 gr., w Sztokholmie (w Szwecji) ponad 9 zł., w Pa-

ryżu wyżej 11 zł., w Londynie ponad 13 zł., a w Danji 15 zł. Odpowiednio wyższe też były zarobki pomocników.

Jeżeli zaś porównamy przeciętne płace tygodniowe u nas i za granicą to przekonamy się, że płaca prowincjonalna wynosiła u nas 48 zł., w Pradze 35 zł., w Medjolanie 36 zł., w Hiszpanji i w Wiedniu 46 zł. W Warszawie płaca tygodniowa wynosiła 51 zł., w Holandji 80 zł., w Kopenhadze (w Danji) 103 zł., w Londynie 104 zł, w Szwecji 107 zł.

Najwyższe stosunkowo płace są u nas w przemyśle drukarskim. Ręczny pracownik drukarski pobierał u nas na prowincji z końcem roku zeszłego 63 zł. tygodniowo; drożej biorą jedynie w Amsterdamie, Kopenhadze i Sztokholmie, bo 75 do 89 zł. tygodniowo

Zecer maszynowy osiągnął u nas najwyższe zarobki w całej Europie. Na prowincji pobiera on płace wyższe niż w większości stolic europejskich. W Warszawie pobiera 134 zł. 96 gr. tygodniowo, kiedy w Londynie tylko 118 zł. 20 gr., w Paryżu 80 zł. 22 gr., w Kopenhadze 89 zł., w Wiedniu 46 zł., w Pradze 44 zł., a w Rzymie 41 zł.

Są to — jak wyżej nadmieniliśmy, płace z grudnia 1925 r., od tego jednak czasu płace te wzrosły jeszcze o kilkanaście procent. W Polsce więc druk jest droższy, niż w całej Europie, dlatego i pisma i książki są u nas najdroższe.

Inaczej będzie!

Słowo od wydawnictwa.

Mieliśmy zamiar dołączać w tym roku do »Nowej Zorzy«, drugie pismo tj. »Naszą Skarbnicę« i to dla wszystkich Sz. Czytelników.

Nie wszyscy jednak Czytelnicy na to się godzą; jedni chcieliby mieć samą tylko »Nową Zorzę«, drudzy »Naszą Skarbnicę« bez »Nowej Zorzy«, a niektórzy pragnęliby mieć jedno i drugie wydawnictwo razem.

Aby tedy tym różnym żądaniom zadość uczynić, robimy tak, że będzie można prenumerować, jak kto chce. albo samą tylko »Nową Zorzę«, albo razem z »Naszą Skarbnicą«

„Nowa Zorza“ sama prenumerowana (**bez** »Naszej Skarbnicy«), kosztuje w przedpłacie

na rok: 5 złotych — **półrocznie: 2** zł. **50** groszy.

Do Ameryki 1 dolar.

Razem zaś z »Naszą Skarbnicą« kosztuje »Nowa Zorza« na rok: **7** złotych — półrocznie: 3 złote 50 gr.

Do Ameryki »Nowa Zorza« z »Naszą Skarbnicą« na rok **2** dolary.

»Nasza Skarbnica« nie będzie wychodziła, jako czasopismo, lecz jako **książka** w 10 zeszytach miesięcznych, począwszy od marca b. r.

Prosimy o rychłe nadsyłanie nowej prenumeraty — i o polecanie naszych wydawnictw swoim znajomym.

Życzymy też wszystkim Szan. Czytelnikom w tym rozpoczynającym się nowym roku: Bożego błogosławieństwa we wszystkich ich zbożnych zamysłach i pracach, a przytem zdrowia najlepszego i lepszej doli, chociaż o niej trudno w nowej Polsce na razie marzyć.

Wydawnictwo.

Zapowiedzianą rozprawkę:

„CZY INNE ŚWIATY SĄ ZAMIESZKAŁE?“

drukować będziemy nie w »Naszej Skarbnicy, lecz w Nowej Zorzy«.

Po ukończeniu druku tej rozprawki podamy w »Nowej Zorzy« drugą również ciekawą historyczną rozprawkę: **„Kobieta w hierarchii kościelnej“.**

W »Naszej Skarbnicy« zaś będą się mieścić przeważnie: powieści, historyczne opowiadania — i różne rady pożyteczne.

Zgubne obłąkanie.

»Do zgubnych obłąkań liczę tak zwane dzisiaj »zasady demokratyczne«, które pod świętemi pozorami wolności, życia, szczęścia ludów, nie są niczem innem w istocie swojej, tylko ubóstwianiem siły materjalnej, interesu materjalnego, jednem słowem materji, która jest śmiercią na pognębienie ducha, który jest życiem, a przez to prędzej lub później zniszczą wszystko, co test wielkie, święte na ziemi, zabiją ludy w ich duchu«.

Z listów Seweryna Goszczyńskiego
z r. 1842.

O człowieku, który zmartwychwstał.

Zdarzenie prawdziwe.

Działo się to przed kilku laty. Nad Odesą latały olbrzymie pociski wyrzucane z potwornych paszcz dział okrętowych. Leżałem na łóżku prawie nieprzytomny, machinalnie strząsając z siebie padające z sufitu kawałki tynku. Z odrętwienia nie wytrącił mnie nawet deszcz rozbitego w oknie szkła. Po pewnym jednak czasie usłyszałem głos:

— Uciekajcie, panoczku. — Dywizja Żeligowskiego jest już w Bessarabji. Gońcie ją, bo tu wam będzie za gorąco.

Mimowoli spojrzałem w okno i ujrzawszy zaimprowizowanych bolszewików: uzbrojonego stróża domu i jego

towarzysza z czerwoną wstęgą i z nosem tejże barwy, zgodziłem się w myśli najzupełniej z ich poglądem, że mimo zimna na dworze — będzie mi jednak od nadmiaru wrażeń gorąco.

Chwyciwszy walizkę, wybiegłem na ulicę. Gdym po chwili odnalazł dorożkę i wrócił pod bramę po rzeczy, bolszewików »swoich« tam już nie zastałem. Nie wiedząc co z sobą począć, skierowałem się do parku miejskiego, aby stąd zobaczyć, co się dzieje na wybrzeżu.

Rosyjskie, francuskie i angielskie pancerniki z morza ziały wciąż ogniem. Trzęsła się ziemia, uginały się drzewa, w pobliskich domach wypadały okna. Wstrząs powietrza był tak silny, że stojących na wybrzeżu, zwalał poprostu z nóg. Od strasznego huku literalnie pękały bębenki w uszach.

Wśród bardzo nielicznych spacerowiczów ujrzałem hrabiów Ronikierów: Edwarda i Michała. Ostatni szedł z synem Kazikiem (obaj później zginęli). Widziałem jak z bólem i łzami w oczach, patrzyli na szykujące się do odpłynięcia statki francuskie. Zbliżałem się nawet do nich, ale tak byli przejęci tą groźną chwilą, że mnie nie zauważyli. Słyszałem tylko, jak odchodząc, jeden z nich rzekł po francusku, przyciszonym, pełnym rezygnacji głosem »l'affaire est perdue« (sprawa stracona).

Przygnębiony, wszcząłem po drodze pogawędkę z właścicielem apteki, p. Holeckim (obecnie mieszkającym w Warszawie), aby podzielić się z nim niewesołemi wiadomościami. Smutni i opuszczeni wracaliśmy do siebie.

Po kilku dniach w mieście rozpoczęła się gospodarka bolszewików: rabunki sklepów, polowanie na ludzi, wdzieranie się w dzień i nocą do mieszkań, szaleństwa »czerezwyczajki«.

W jakiś tydzień po opanowaniu miasta przez rozbójników, wybrałem się po wieści do włoskiej rodziny Tchinganellich. Po godzinie już wyszedłem stamtąd w towarzystwie wicekonsula p. Rossi. Puste ulice były pogrążone w ciemnościach w których ustawicznie rozlegały się salwy, oraz pojedyncze wystrzały karabinowe. Muszę przyznać, że w tych warunkach wieczorna przechadzka do gustu całkiem mi nie przypadła. Kląłem w duchu, zarówno niedorzeczny pomysł spaceru, jak i przyjaźń z dziwakiem Włochem.

Nie zdążyliśmy jeszcze dojść do mieszkania wicekonsula przy ulicy Preobrażeńskiej, gdyśmy usłyszeli groźne jakieś okrzyki. Na środku ulicy stał wózek, ciągnięty przez starszego mężczyznę. Na wózku siedziało dziecko z małym z pieskiem, obok zaś matka, za nią jeszcze dwoje małych dzieci, a wszystko to w otoczeniu oddziału bolszewików, który domagał się od rodziny przedstawienia dowodów osobistych. Ciągnący wózek mężczyzna uspokoił wystraszoną dzieciarnię, zapalił flegmatycznie fajkę i pokazał swoje dowody. Towarzyszom sowieckim snać podobała się mężna postawa i pewność siebie ojca podróżującej rodziny, gdyż zwracając mu trzymany „do góry nogami« dokument, ustąpili z drogi.

W tym właśnie czasie nadjechał konny oddział zbrojnych. Przy świetle latarni dowódca oddziału, marynarz poznał w nieznajomym przebranego pułkownika wojsk carskich i wydał krótki, krew ścinający rozkaz.

— Pod ścianę podleca, białogwardzistę i rozstrzelać! Rzeczy skonfiskować, szczeniaków i babę puścić do djabła.

Zdaleka, kryjąc się w bramie, w kobiecie poznałem rodaczkę pułkownikową L. Rozległ się spazmatyczny krzyk dzieci, które wołały: »Tatusiu, nie opuszczaj nas, tatusiu!« Żołdacy brutalnie odepchnęli czepiającą się uprowadzanego ojca dzieciarnię, i wraz z nim zniknęli w ciemnościach.

Po kilku minutach w porcie rozległa się salwa, poczem znów zapanowała cisza.

Powracający później trochę podpici marynarze przechwalali się głośno:

— Gładko skończyliśmy z tym pułkownikiem, ani drgnął. Psu psia śmierć!

Po kilku godzinach w mieszkaniu pułkownikowej chyłkiem, niczem do katakumb, przybyli nieliczni znajomi, którzy z okazji wigilji urządzili dla dzieci choinkę.

— Niech się tam po stracie ojca pocieszą — mówili sobie pocichu. Kto wie, może to już ostatnia ich wigilja?

Dzieci, które nie chciały wierzyć, aby ojciec choć powszechnie wiadomo, że był rozstrzelany, nie żył i w końcu nie wrócił, czekały na tatusia. Nerwowo, jakby też kogoś oczekując, spoglądała na drzwi i sama matka.

Aby przerwać przykrą ciszę, ciotka dzieci, pani Helena L., powstała, i wziąwszy opłatek, tłumiąc łkanie, podeszła do dzieci z pieszczotą i gorącem słowem.

— A gdzie tato, tatko niech przyjdzie do nas — wołały wciąż maleństwa.

Nagle do drzwi ktoś cicho zapukał.

Wszyscy zamarli, trwogą zdjęci.

— Czyżby bolszewicy?

Przezwyciężywszy lęk, p. Helena L. otworzyła drzwi. Krzyknęła jednak i blada jak śmierć zatoczyła się.

W drzwiach ukazało się widmo. Tak chyba widmo?

Struchlała żona, tylko dzieci, bijąc piąstkami w stół, wołały radośnie: »Tatuś wrócił, nasz tatuś!«

Podszedł do stołu wymęczony, napozór spokojny, choć mu łzy strumieniami ciekły z oczu, i całując dzieci, dzielić się zaczął z niemi opłatkiem.

Po chwili, gdy już kobiety, które dotąd nie wierzyły własnym oczom, przyszły do siebie, zmartwychwstały ojciec półgłosem opowiedział całą historję.

Okazało się, że odprowadzono go do portu, i tam pod murem rzeczywiście rozstrzelano. Przeszyty kilku kulami upadł i udał martwego. Rzekomy trup został pod ścianą, kiedy niebawem zjawili się rabusie i chcieli zedrzeć zeń ubranie, ranny przekupił ich i wytargował dla siebie skarb życia. Rabusie wyleczyli nieszczęśliwego z ran i oto delikwent po egzekucji stanął przed rodziną — zmartwychwstały.

E. R

Czy inne światy są zamieszkałe?

I.

Ludzie w wiekach starożytnych, czyli przedchrześcijańskich, wyobrażali sobie ziemię, jako płaską tarczę, a słońce jako meteor, który co rano zapala, a wieczorem gasi, tajemniczy genjusz Gwiazdy toczyły się, według nich, po twardem sklepieniu niebios, oddalonem zaledwie o parę mil od ziemi. Dopiero wynalazek teleskopu zburzył te naiwne wyobrażenia, a rozwój astronomji przekonał nas, że ziemia jest zaledwie drobnym pyłkiem w wszechświecie.

Wyłoniło się wskutek tego pytanie, czy tylko jedna ziemia w całym wszechświecie jest zamieszkałą przez istoty żywe i rozumne, czy też i inne planety systemu słonecznego, mają jakich mieszkańców. A dalej, czy tylko planety są zamieszkałe, a reszta, tj. niezliczone miljardy ciał niebieskich obejmująca przestrzeń, zapełniona jest światami martwymi, bez istot żywych?

Już samo głębsze zastanowienie się wskazuje, że byłoby dziecinną naiwnością myśleć, jakoby P. Bóg jednej jedynej ziemi dał przywilej wśród całego wszechświata być mieszkaniem istot żywych.

Nierozumnem i nielogicznem okazuje się mniemanie, jakoby te niezliczone ciała niebieskie były stworzone tylko na to aby człowiek ziemski im się przypatrywał. Stwórca nie mógł nic bez celu i pożytku tworzyć, a więc z pewnością cały wszechświat napełnił życiem. Tylko pycha i próżność ludzka może sądzić inaczej.

Zajmijmy się najpierw planetami, towarzyszkami ziemi, w systemie naszego słońca. Tutaj możemy się oprzeć nie na samych rozważaniach teoretycznych, czyli naukowych, ale i na badaniach astronomicznych.

Wiemy, że wszystkie widzialne globy, czyli ciała niebieskie, oprócz księżyca, posiadają atmosferę zbliżoną do naszej. Dwie najbliższe planety, W e n u s i M a r s, przedstawiają warunki, do których moglibyśmy się dostosować. Średnia temperatura na planecie Wenus wynosi 66 stopni; jest to ciepłota często spotykana około naszego równika. Średnia temperatura Marsa wynosi 9 stopni, a taką posiadają nasze kraje północne. Gdybyśmy się mogli na te planety dostać, moglibyśmy się pod biegunami Wenus lub pod równikiem Marsa zaklimatyzować.

Na księżycu, nie posiadającym atmosfery, nie moglibyśmy oddychać, a na J o w i s z u, S a t u r n i e, U r a n i e i N e p t u n i e byłoby nam za zimno; mimo to nie możemy twierdzić stanowczo, że życie na tych globach nie istnieje. Bo nie trzeba o wszystkiem sądzić według naszej miary i wszystkiego stosować do naszych potrzeb. Miejscowość nieodpowiednia dla nas, może być odpowiednia dla innych istot.

Wiemy, że niemożebne jest życie organiczne bez tlenu. Ale czy tlen koniecznie musi się czerpać z powietrza? Są

przecież nawet na ziemi bakterje *anaerobia*, żyjące bez powietrza a pochłaniające tlen ze związków je otaczających. Może na księżycu żyją istoty, utrzymujące się przy życiu zapomocą tlenu, wydobywanego z tamtejszych minerałów?

Tak samo ma się rzecz z zimnem. Na Jowiszu, Saturnie, Uranie i Neptunie panuje wprawdzie zimno lodowate, ale to jeszcze nie powód, żeby tam życie nie było możebne. Temperatura ich obniżała się stopniowo, nieznacznie w ciągu tysięcy lat, t. j. w miarę wygasania ich ognia wewnętrznego. Jednocześnie żyjące tam istoty przystosowywały się i przyzwyczajały do spadku temperatury, a jeżeli nie dopomagała im w tem natura, to uciekały się do sposobów sztucznych. Istoty bowiem inteligentne, zamieszkujące wspomniane światy, o wiele od naszego starsze, muszą posiadać olbrzymie doświadczenie i wiedzę, o jakiej my nie mamy pojęcia, a my przecie potrafimy wytwarzać ciepło sztuczne, bez wielkich trudności.

Może też Neptunianie i Uranianie, odsunięci najdalej od słońca, wyczerpawszy wszelkie źródła ciepła, spaliwszy wszystko, co było palne, zapuszczali się we wnętrza swoich światów, szukając tam ochrony od zimna, aż wreszcie przestali istnieć. Nie upieramy się bowiem przy tem, żeby życie na planetach trwało wiecznie, owszem przypuszczamy, że na jednych istnieje w pewnych fazach rozwoju, na innych powoli wygasło, a na innych dopiero jest w zarodku i z czasem się rozwinie.

Wenus i Merkury są od naszej ziemi młodsze, na nich życie jest z pewnością mniej rozwinięte. Neptun, Uran, Saturn, Jowisz i Mars są planetami od naszej ziemi starszemi; życie na nich jest albo bardziej rozwinięte, albo przeszło punkt kulminacyjny i schyliło się do upadku.

Wszystkie planety ulegają jednym i tym samym przeobrażeniom; naprzód są ognisto-płynną masą, potem powoli stygną. Okresy stygnięcia są zapewne różne, ale wszystkie planety, począwszy od najbardziej obecnie rozpalonego Merkurego, a skończywszy na najbardziej wystygłym Neptunie, przeszły przez te same koleje rozwoju, co nasza ziemia, i każda z nich albo była, albo się znajdzie w tejsamej fazie rozwoju, w jakiej jest obecnie ziemia

Zatem, gdy na tych planetach był klimat i inne warunki takie, jakie obecnie posiada ziemia, znajdowały się

tam prawdopodobnie rośliny i zwierzęta, zbliżone do naszych, a także istoty inteligentne, zbliżone do rodzaju człowieka, jeżeli nie do tego samego gatunku.

Oczywiście, wszystkie te twory różniły się od tworów ziemskich o tyle, o ile warunki życia różniły się od naszych warunków dzisiejszych. Gdy ziemia dosięgnie wieku n. p. Jowisza, mieszkańcy jej może staną się podobni do dzisiejszych mieszkańców tej planety. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Potworne zbrodnie bolszewickie.

W najbliższym czasie ma się ukazać w handlu księgarskim, jak pisze socjalistyczny dziennik berliński »Vorwärts«, dzieło profesora Melgunowa, w którem autor wspomniany czyni próbę zebrania krwi rozlanej w Rosji w ciągu ostatnich lat siedmiu do jednego basenu. Czerwony terror rządów sowieckich, który pozbawił życia niezliczoną liczbę osób i rozkiełznał najdziksze instynkty zwierzęcia ludzkiego występuje w tej książce w całem swojem okrucieństwie.

Są tam przedstawione epizody tak barbarzyńskie, tak ohydne, że niejednemu z nas uwierzyć w nie trudno, i tylko ci, którzy bezpośrednio zetknęli się z tem szaleństwem i ohydą, widzą w nich tylko słaby odbłysk prawdy i rzeczywistości, która stokroć te opisy przewyższa.

Śmiercią karane były i są w Rosji za czasów panowania sowieckiego wszystkie możliwe występki i wykroczenia. Kontrrewolucjoniści, dawniejsi generałowie carscy i ministrowie, urzędnicy policyjni i agenci, fabrykanci i posiadacze ziemscy, oficerowie i urzędnicy, mordercy i rabusie, podpalacze i rzezimieszki, drobni spekulanci i handlarze, fałszerze monet i osoby, którym przypadkowo wpadły w ręce jeden lub dwa banknoty sfałszowane — do wszystkich nich stosowano karę śmierci. Nie było poprostu przestępstwa, któregoby nie można było w Rosji ukarać śmiercią.

Nieograniczone prawo rozdzielania tej kary miały czerezwyczajki, których w najdrobniejszych mieścinach nie brakowało. Prawo apelacji nie istniało. Czekiści rozporządzający nieograniczonem prawem nad życiem i śmiercią obywateli, w niewielu tylko wypadkach składali się z byłych rewolucjonistów. Byli to przedstawiciele wszystkich sfer społecznych, a najczęściej przedstawiciele mętów społecznych.

Najpowszechniejszą formą stosowania kary śmierci było rozstrzeliwanie. Zazwyczaj tracono ludzi masowo. Odbywało się to nierzadko w zamkniętym lokalu, jak np. w Moskwie w autogarażu, który nawet zaopatrzony był w rynnę odpływową, którą ściekała krew traconych ofiar,

Zazwyczaj w czasie egzekucji puszczano w ruch motory samochodów, aby zagłuszyć strzały. Często jednak tracenie odbywało się na wolnem powietrzu, na podwórzu, lub gdziekolwiek poza miastem. Ofiarom zawiązywano oczy i oddział wojskowy czerezwyczajki dawał salwę, albo też kandydaci na tamten świat, pojedynczo otrzymywali strzał z tyłu. Jeżeli który z nich dawał jeszcze oznaki życia to dobijano go uderzeniami kolb w czaszkę.

Przy masowych egzekucjach. skazani byli często zmuszeni do kopania sobie grobów.

Ale były i inne sposoby tracenia np. sposobem chińskim odrąbywano głowy toporami. Tak zginął słynny generał Ruski. Zakopywano też ofiary żywcem lub palono, zamieniano ludzi w słupy lodu, polewając ich w zimie na dziedzińcu zimną wodą, topiono nieszczęśliwych we wrzątku, krzyżowano, wbijano na pale i topiono całemi setkami.

Często przewodniczący trybunałów rewolucyjnych, ulegający zresztą tajnym nakazom z Moskwy, odgrywali rolę katów i sami polewali płonącym lakiem swoje ofiary, a następnie zdzierali oparzoną skórę i dopuszczali się innych jeszcze udręczeń. Tak więc wbijano gwoździe za paznokcie, gnietli delikatne części ciała, wciskali gałki oczne, bili do krwi po głowach kolbami rewolwerów itd. Wykopane zwłoki ofiar bolszewickiego panowania wykazują niewiarogodne poprostu okaleczenia.

Za czasów carskich katami byli zazwyczaj dawniejsi kryminaliści, bandyci itp. Czasy bolszewickie przekażą historji specjalny rozdział, poświęcony k o b i e t o m, spełniającym rolę katów.

Kobiety-katy znajdują się w Odesie, Wołogdzie, Baku i w Moskwie, a bodaj w całej Rosji.

Jedną z najznamienniejszych postaci wszechrosyjskiej czerezwyczajki był lekarz nazwiskiem Kedrów. Objeżdżał on całą Rosję ze swoim specjalnym pociągiem karnym, sporządzał wszędzie listy kandydatów do stracenia i kazał ich setkami rozstrzeliwać. Żona jego własnoręcznie setkom ludzi odebrała życie, mąż jej skończył w szpitalu warjatów.

Znaną była w Moskwie kobieta (żydówka), która zjawiła się zazwyczaj w więzieniu butyrskiem, po swe ofiary z papierosem w ustach, szpicrutą w ręce i rewolwerem za pasem.

W Moskwie znany był też niejaki Iwanow, którego nazywano komisarzem śmierci. Regularnie, w pewnych odstępach czasu, przejeżdżał on w zamkniętem aucie do więzienia i zabierał ze sobą swe ofiary.

W korytarzach, w celach, panowała w takich momentach śmiertelna cisza, albowiem nikt nie wiedział, na kogo przyszła kolej. Więźniowie ukrywali się wówczas pod pryczami, nie dawali żadnego znaku życia, gdy usłyszeli wyczytane swoje nazwiska, a kiedy ich gwałtem zabierano, chwytali się kurczowo żelaznych prętów swoich łóżek. Ci i owi zażywali wówczas pospiesznie truciznę, aby w ten sposób wyzwolić się z rąk katów.

Jeszcze większe tortury przeżywali ci, których zawcześnie przeprowadzono z więzienia do czerezwyczajki i którzy musieli tam dlatego po kilka dni wyczekiwać aż nagromadzi się wystarczająca ilość skazanych na śmierć. Niektórzy z nich nie doczekawszy się tej chwili dostawali pomieszanie zmysłów. Tych mordowali kaci bolszewicy bez żadnych ceregieli.

Wielu z tych katów, dręczonych wyrzutami sumienia i wizjami ofiar przez nich pomordowanych, skończyło w szpitalu warjatów.

Jest rzeczą niemożliwą w krótkim artykule zapoznać Szan. Czytelników z całą treścią książki prof. Medgunowa, ale już to ogólne streszczenie wystarczy, by poznać zbrodnie czerezwyczajek, które w dziejach ludzkości zajmą najohydniejszą kartę.

Odezwa i prośba!

Ciężkie i smutne nastały dziś czasy. Drożyzna w Polsce wzrosła w ostatnich latach do nieprzewidzianej wysokości. Utrzymanie **2 Zakładów sierót** t. j. w Kochawinie (w Małopolsce wschodniej) i w Sidzinie koło Jordanowa, tuż u stóp Karpat — to rzecz wymagająca dziś wielu setek tysięcy »złotych«.

A że sam jestem niezamożny, probostwo zaś moje nie daje ani w setnej części dochodów potrzebnych na utrzymanie tych dwóch Zakładów sierót, więc odzywam się do serc miłosiernych i proszę o jakiekolwiek datki dla biednych sierót.

Pozwolę tu sobie przypomnieć słowa Chrystusa Pana: »Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili«

Ks. J. Trzopiński
prałat i proboszcz w **Kochawinie** (poczta Kochawina, Małopolska wschodnia).

„KRÓLOWA APOSTOŁÓW", miesięcznik

w objętości 32 stron druku, jest obecnie najtańszem pismem religijnem, a przynosi w każdym numerze piękne artykuły, obfity i budujący materyał do czytania.

Prenumerata wynosi na rok: **2** złote **40** groszy *Adresować* należy: *XX. Pallotyni* — *Wadowice* (Małopolska) na „Kopcu".

Raczcie drodzy Rodacy i Rodaczki

pamiętać o **biednych sierotach,** któremi się opiekuje, które wychowuje i żywi Siostra Iwona w Krakowie. Jest w tym Zakładzie sierót 35 — a mało kto o nich pamięta — i nieraz te sieroty jeść co nie mają.

Wszelkie łaskawe datki przyjmuje z wdzięcznością przełożona Zakładu:

Siostra Iwona Podmagórska **w Krakowie** ul. Kopernika 32.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**
Odbito w drukarni „Czasu" w Krakowie ul. św. Tomasza 32.